Wśród zagranicznych książek

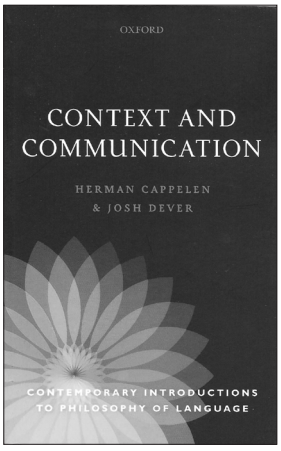
Jacek Wojciechowski

Przeglądając sygnały publikacji na temat informacji naukowej i praktyki informacyjnej, odnoszę wrażenie postępującej monotonii przedmiotowej i poniekąd autoteliczne skupienie się na wewnętrznych sprawach tej dyscypliny – a wyraźnie mniej na tym, co w rzeczywistości ewidentnie zasługiwałoby na nowe refleksje. Myślę, że są takie obszary i spróbuję tu je częściowo odnotować.

Coś musi zresztą być na rzeczy, skoro pojawiają się głosy o schyłku tej dyscypliny, a nawet wręcz o zapaści[1] – jakkolwiek być może nieco przesadzone. Nie mam dostatecznych kompetencji, żeby sformułować wiążącą opinię, jednak niepokój jest.

Ze względu na taką niepewność spróbowałem tym razem odnieść się do szerszego kontekstu teorii oraz praktyki informacji naukowej, licząc na przełamanie ograniczonego rejestru tematów. Być może udało mi się to – przynajmniej połowicznie. Ale swoją drogą, podaż opracowań nadmiernie mozaikowa nie jest.

Informacja, konteksty, znaczenia [*****]



Herman Cappelen, Josh Dever (2016). *Context and Communication*. Oxford: Oxford University Press, pp.199. ISBN 978-0-19-873306-5

Pośród grzechów głównych nauki o informacji – a trochę ich jest – umieszczam niedostatek **rzeczywistych** rozpoznań procesów **odbioru** przekazywanych powiadomień. Jeżeli w ogóle pojawia się dyskurs o jakiejkolwiek recepcji, to przeważnie w prostych kategoriach partycypacji albo absencji w komunikacji informacyjnej, z ewentualnym przejęciem kategoryzacyjnych objaśnień socjologicznych. Towarzyszy zaś temu pozaświadome założenie, że odbiór informacji (tymczasem w istocie: sygnałów – a w niepoprawnym utożsamieniu: treści) jest prostą odwrotnością procesu nadania. Nic bardziej mylnego! A to dlatego, że perspektywa odbiorcy bywa w takim ujęciu ignorowana. Nawet znakomite opracowanie Nicolasa Tomaiuolo[2], chociaż skupia się na użytkownikach informacji, to jednak w rzeczywistości opisuje ich jako nadawców, albo re-nadawców informacji, a nie jako jej **spożywców**.

Z mizernego rozpoznania biorą się zasadnicze nieporozumienia. Ignorujące ewidentny fakt, że każdy odbiór wszelkich komunikatów polega na indywidualnej **interpretacji** treści. I trzeba rozeznać jej prawidłowości, jednak w roztrząsaniach informatologicznych na ogół niczego takiego nie ma. Stąd bierze się paninformacjonizm, uznający każdą transmisję komunikatu za informacyjną, jak też

[1] D. Bowden, L. Robinson (2012). *Introduction to Information Science*. London: Facet Publishing, 335; M. Gorman (2015). *Our Enduring Values Revisited*. Chicago: ALA Editions, 86.

[2] N. G. Tomaiuolo (2012). *U-content. The Information Professionals' Guide to User-Generated Content*. Medford: Information Today Inc.

niedopuszczalne utożsamianie z informacją literatury i sztuki oraz, co najgorsze: brak praktycznego pożytku z bardzo wielu rozważań. To wymaga zmiany.

Poczynając od uświadomienia, że komunikacja jednoznaczna po obu stronach, czyli nadania oraz odbioru, jest możliwa wyłącznie w trybie cyfrowym i tylko pomiędzy maszynami. Jednak na początku oraz na końcu każdego procesu komunikowania znajdują się **ludzie**. Różni – przyjmując, że nie zwracają się sami do siebie. Otóż zawsze dokonują przetworzeń, nazywanych interpretacjami i (również zawsze) robią to po swojemu. Jeśli więc nie rozpozna się tego, to o procesach obiegu informacji będzie wiadomo niewiele, mało lub tyle, co nic.

Oczywiście, z zanadrza wyskakuje pytanie: jakim tedy cudem porozumiewamy się jednak i nawet tworzymy wspólne zasoby treści, zarówno informacyjnych, jak też nieinformacyjnych? Oraz w jaki sposób dociekamy obiektywnej **prawdy**, bez której nie byłoby informacji, nauki, ani nawet wiedzy, pojmowanej intersubiektywnie? To powinien być ważny przedmiot dociekań nauki o informacji.

Od dawna zajmują się nim różne inne dyscypliny i subdyscypliny. Filozofia języka, socjolingwistyka i psycholingwistyka, neuronauka, semiozofia oraz socjologia języka. Ale z tego wcale nie wyłania się jednorodny obraz zjawisk. Przeciwnie: powstała mozaika różnych podejść oraz opinii, często sprzecznych wzajemnie, a przeważnie kontrowersyjnych. W dodatku skupiona głównie na procesach komunikowania, a nie odbioru.

Dlatego sygnalizuję tu świeżą publikację na ten temat, która w znacznym stopniu rekapituluje dotychczasowe opinie, formułowane przez filozofów języka werbalnego. Do ewentualnego rozciągnięcia na inne formy komunikowania – aczkolwiek z ich rozróżnieniem, zwłaszcza pisemnej od digitalnej – mimo całego rejestru wątpliwości, ale jednak częściowo produktywnych. Które warto poddać refleksji, także dla pełniejszego zrozumienia procesów informacyjnych.

Otóż dwaj profesorowie filozofii – **Herman Cappelen** z uniwersytetów w Oslo oraz w szkockim St. Andrews i **Josh Dever** w Austin (USA) – **odświeżyli** wzbogacająco rozważania na temat konstytuowania się znaczeń w komunikacji (werbalnej, ale nie tylko). Dokładniej: mowa o jednoznaczności wieloznaczności, z odniesieniem zatem również do **prawdy**, w zależności od różnych **kontekstów**. Wszystko zaś dotyczy także informacji, która musi być prawdziwa, no i ważne jest, jak kształtują się jej znaczenia. Klarownych wyjaśnień w tej książce nie ma, ale jest zachęta, albo nawet prowokacja, do głębszych przemyśleń.

Rzecz w tym, że znaczenie każdego sygnału znaczącego, komunikatu, wypowiedzi nie jest sztywne, zawsze identyczne, bo może zmieniać się stosownie do kontekstu. Jakiego oraz czyjego? Nadawcy, odbiorcy, otoczenia i okoliczności transmisji. Dlatego kontekstualność nazywa się nieraz okazjonalnością, ponieważ jej wpływ na tworzenie znaczeń bywa rozmaity. Kontekstem może być rzeczywistość, do której odnosi się komunikat, lecz także jej wyobrażenie, ale również ta, która towarzyszy nadaniu bądź odbiorowi. Jednak kontekstami mogą być same składniki wypowiedzi (słowa w różnych zdaniach mają odmienne znaczenia) albo obszary świadomości uczestników procesu komunikowania. Zresztą kontekstem bywa nawet cel sformułowania wypowiedzi albo – inny – jej przyjęcia.

W rezultacie sygnały, słowa, wypowiedzi oraz (właśnie) informacje mogą mieć bardzo szeroką gamę znaczeń. Nie do rozpoznania w rejestrze pełnym, kompletnym. Komunikaty, formułowane z ich pomocą w jednym kontekście, są odbierane w kontekstach innych, też wzajemnie tak dalece różnorodnych, że nie do zidentyfikowania w całości. No więc te okoliczności relatywizują konkretyzację sensów, zatem i to, co uważa się za **prawdę**. A zrelatywizowana prawda: czy rzeczywiście jest prawdą prawdziwą?

W tych okolicznościach pojawia się kategoria **prawdopodobieństwa**, ale to już jednak nie to samo, co prawdziwość, bowiem podobieństwo to nie identyczność, ani tożsamość. A jednak prawda przecież istnieje, zaś w komunikowaniu zachodzi również częściowa przynajmniej dosłowność, czyli jednoznaczność: identyczność desygnacji po stronie nadania oraz odbioru. Tyle, że nie konstytuuje się automatycznie.

W dyskusjach, które zresztą nie prowadzą do wiążących rozstrzygnięć, pojawiają się wskazania na komunikację cyfrową, rzekomo jednoznaczną, bo dwa to dwa, a nie siedem albo jeden. Ale to

jest rozumowanie nieuprawnione. W czystej komunikacji digitalnej występują jedynie znaki, sygnały, kody, pozbawione konotacji. Denotacji dokonują **zewnętrzni** (poza urządzeniami) uczestnicy procesów komunikowania: ludzie – decydując o desygnacjach oraz o znaczeniach. I (wracając do punktu wyjścia) trzeba przypomnieć, że każdy robi to po swojemu. Dlatego sam opis i model procesu komunikacji lub transmisji informacji objaśnia niewiele albo jeszcze mniej.

Jednak z różnych wypowiedzi znawców konstytuuje się wskazanie na konieczne minimum interkontekstowej stabilności, więc elementarnej **stałości** znaczeń. Jest taki podstawowy obszar semantyczny co najmniej niektórych sygnałów, znaków, słów i wypowiedzi, przynajmniej częściowo interkontekstualny: oznaczający dla wielu (dla wszystkich?) to samo. Słowo **JA** może oznaczać konkretnie każdego nadawcę indywidualnie, ogólnie natomiast zawsze wskazuje na autora komunikatu.

Przydałoby się ustalenie, czy w komunikacji informacyjnej również istnieje obszar znaczeń niezmiennych, interkontekstowych, dla wszystkich ten sam. Na wyczucie: musi, bo to wszak jest podstawa porozumienia. Ale jak to dookreślić?

Muszę dopowiedzieć, że chociaż rozważania obu autorów odnoszą się nie tylko do komunikacji ściśle informacyjnej, umownie biorąc faktograficznej – jest bowiem w tej książce mowa też o wyobraźni, o emocjach, oraz o innych kojarzonych procesach mentalnych – to jednak całkowicie pomijają komunikację artystyczną oraz literacką. Ta zaś już z natury opiera się na wielodesygnacyjności, nastawiona multikontekstowo oraz na znaczenia pośrednie, metaforyczne i symboliczne.

Oczywiście, jedna książka nie może zajmować się wszystkim, zwłaszcza że z góry jest nakierowana na komunikacje werbalną. A jednak przydałby się chociaż sygnał, wskazujący na istnienie (wszak w trybie oralnym również) komunikacji nieinformacyjnej, co uproszczony paninformacjonizm najwyraźniej ignoruje. Bo to jest zupełnie inna formuła komunikowania: obu nie wolno wzajemnie mylić.

Desygnaty odpowiadające znakom, wypowiedziom, komunikatom, treściom przekazów, mogą być mniej lub bardziej liczne; stąd bierze się wieloznaczność. Bywają konkretne, referencyjne odniesienia do realnej rzeczywistości i wtedy zdarza się, że desygnat jest tylko jeden. Ale są też abstrakcyjne i atrybutywne, wskazujące na cechy **klasy** obiektów: wówczas jest ich więcej, nieraz bardzo dużo i trzeba wybierać. Pomocne w wyborze mogę mogą być nadawcze wskazania, lub uzgadniające omówienia, czasem zaś (lecz tylko w bezpośredniej przestrzeni wspólnej) także to, co znajduje się w otoczeniu. Ale tak w większości procesów informacyjnych nie jest. Nawet w wymianie opinii specjalistów z tego samego zakresu.

Wobec tego **kierunkowe** nastawienia interpretacyjne biorą się z kontekstów, tych jednak jest mnóstwo. Bywają obiektywne bądź subiektywne, nadawcze albo odbiorcze, pragmatyczne lub semantyczne – w końcu kontekstem jest nawet samo mówienie, pisanie, albo klikanie – a egzystują przecież wszystkie razem, obok siebie. Nikt jednak nie potrafi rozpoznać całego kompletu kontekstów, który w dodatku nie jest zamknięty: zawsze mogą pojawić się konteksty nowe, wcześniej nieprzewidywane.

Sztywne reguły skojarzeniowe, konieczne dla jednoznaczności, mogą ewentualnie odnosić się do jednego konkretnego desygnatu, ale wobec grupy lub klasy desygnowanych obiektów muszą być elastyczne. Dochodzenie zatem do informacyjnej prawdy opiera się na zakładanej wspólnocie kontekstu i zbieżnych odniesień w nadaniu oraz w odbiorze. Lecz jest to możliwe w wymiarze ograniczonym, natomiast w powszechnym: całkiem wyjątkowo.

Pomijając różne inne warianty odbioru, w przyjęciu komunikatów informacyjnych generalnie (chociaż nie tylko) chodzi o to, żeby dowiedzieć się, co sygnalizuje nadawca oraz konkretny komunikat. Ma też miejsce **weryfikacja** prawdziwości odebranych treści. Ale określenie **przejęcie** oznacza interpretację, czyli przekład tych treści na własne kategorie rozumowania odbiorcy. Jak to wyjaśnić i doprecyzować?

Kluczem jest – jak się wydaje – tryb kontekstualny. Umożliwia mianowicie zestawienie przejmowanych treści z kontekstem rzeczywistości realnej lub prawdopodobnej. W tym drugim przypadku weryfikacyjnym regułom prawdziwości poddawana jest nie tyle sama informacja, co raczej (właśnie: prawdopodobna) intencja nadania. Co oczywiście nie brzmi najlepiej. Można bowiem zapytać, o której

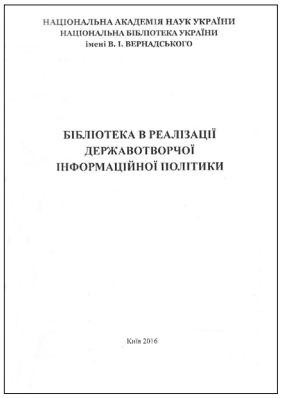
bądź o czyjej rzeczywistości mowa, a także przypomnieć, że konteksty oferują nie jedną możliwość zestawień, ale **siatkę** możliwości. No i na tym polega, ciągle istniejący, splot wątpliwości.

Nie bez powodu zatem w metodologii poznawczej odróżnia się analityczną koncepcję semantyczną – dociekanie co jest **nadane** (powiedziane) – od koncepcji pragmatycznej: ustalenie co jest **przyjęte** (zrozumiane). I dlatego obaj autorzy tej książki dalecy są od sugestii, że wszystko w tym pakiecie problemów udało się już wyjaśnić.

A dla nauki o informacji pozostają do bliższego rozpoznania – koniecznie w przyrównaniu do ustaleń innych dyscyplin naukowych – warunki optymalnej transmisji komunikatów informacyjnych **pomiędzy ludźmi**. Pojmowanej w kategoriach (i przez pryzmat) jednoznaczności oraz prawdziwości. O tym bowiem wiadomo stanowczo za mało.

Mam oczywiście świadomość, że refleksje filozofów lingwistyki nie muszą być szerzej znane specjalistom z zakresu informacji naukowej, więc właśnie dlatego tutaj je sygnalizuję. Odnoszą się bowiem również do komunikacji informacyjnej i są dla niej bardzo ważne. Dlatego co najmniej trzeba mieć je **na oku**. Porzucając złudzenia co do komunikacyjnych jednoznaczności.

Infocyberwojna [***]



T. Dubas, L. Sisina, O. Fedorenko, J. Szłapak, red. (2016). *Biblioteki w realizacji dierżawotworczoj informacijnoj polityki.* Kijiw: Nacjonalna Akademia Nauk Ukraini, Nacjonalna Biblioteka Ukraini im. W. I. Wernadskogo, ss. 324. ISBN 978-966-02-7909-4

Autoteliczne często nastawienie nauki o informacji, mianowicie głównie na siebie oraz na własne problemy wewnętrzne, w niektórych krajach zostało brutalnie przerwane, a przynajmniej naruszone: z częściowym zamustrowaniem do zupełnie innych zadań. Niekoniecznie akceptowalnych, bowiem paramilitarnych, a nawet w pełni bojowych – od początkowo propagandowych, następnie hakerskich, potem sabotażowych i w końcu ewidentnie agresywnych. Świat zaczął sobie zdawać z tego sprawę z opóźnieniem, niechętnie i bardzo mgliście; dopiero wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych ujawniły stopień zagrożenia oraz bezradność. Nikt nie był (i nie jest?) przygotowany na coś takiego, na ogół zabrakło więc pomysłów, jak się bronić.

Oto więc niepostrzeżenie w obiegu informacji eksplodowała praktyka dezinformacji oraz napastliwej manipulacji, do której trzeba się odnieść i przygotować co najmniej defensywnie. Lecz wygląda na to, że sama bierna obrona już nie wystarczy.

Sprawy zaszły bowiem znacznie dalej, osiągając stan informacyjnej **cyberwojny**, którą na równi z artyleryjskim i rakietowym ostrzałem, zastosowali agresorzy na Ukrainie. No i okazało się, że ten nie tak mały kraj – brutalnie dopowiem, że jak każdy inny – nie znalazł sposobów zaradczych. Nigdzie bowiem jeszcze nie istnieje obrona antydezinformacyjna. Trzeba ją dopiero wymyślić, stworzyć i praktycznie wdrożyć.

O czymś takim zaczęto myśleć w Kijowie, ale dopiero po czasie, kiedy już utrata Krymu, Doniecka oraz Ługańska stała się faktem – tak jak i ogólny zamęt w głowach. Na początek pojawiły się pomysły nerwowe i proste, jak koncepcja ocenzurowania Internetu i całej komunikacji publicznej. A dopiero teraz generują się przemyślenia głębsze, przy udziale także znawców komunikacji informacyjnej, zmierzające do wypracowania **strategii** obronnej – czego świadectwem jest sygnalizowana tu książka.

Ważna, ponieważ samo zjawisko na pewno nie jest incydentalne i nigdzie nikt nie jest wolny od zagrożeń, nawet jeżeli tak myśli. Natomiast ta ważność nie konkretyzuje się wystarczająco klarownie. I to nie tylko dlatego, że książka jest w języku ukraińskim.

Przede wszystkim bowiem (piszę to z przykrością) jest katastrofalna, a nawet koszmarna, redakcyjnie oraz edytorsko. Wydawane tam książki, odnoszące się do bibliotekarstwa oraz informacji naukowej, już z wyglądu przypominają produkty chałupnicze, mimo że inne wydaje się na Ukrainie jak wszędzie. Jednak tym razem zgroza jest znaczniejsza. Oto bowiem autorów (bez imion) wyliczono tylko... na odwrocie strony tytułowej, a ponieważ nawet podrozdziały bywają wieloautorskie, absolutnie nie wiadomo, co kto napisał. Z powodu zaś autorskiej mnogości te podrozdziałowe niby-całostki bywają treściowo niespójne. Trudno zgadnąć, co tam robiła czwórka redaktorów, wymieniona zresztą (dla odmiany?) na ostatniej stronie książki. To jest jakiś edytorski bzik.

Układ całości niewiele ma wspólnego z logiką: to chaos, pełen nawrotów i dziwnych **odskoków** treściowych. Największe jednak zdumienie budzi fakt, że w jednej książce są... dwie książki. Ta druga (70 stron), lekceważąco określona w spisie treści jako **dodatek**, ma jednak wewnątrz tytuł, autorów oraz zatytułowane segmenty. W obu częściach jest sporo przypisów, jednak zachodnich mniej niż kot napłakał i przeważnie stare. Ponieważ zaś tylko lokalnie, trudno byłoby odnieść się produktywnie do dramatycznej rzeczywistości – jakieś zagraniczne nawiązania są, ale głównie... ze słyszenia.

Jednak najgorszy jest typowo postsowiecki bełkot stylistyczny. W humanistyce sowieckiej najważniejsze było nazwanie czegoś możliwie zawile i niby **uczenie**, a potem operowanie tą nazwą jak cepem. W ten sposób klamka stawała się **kinetycznym urządzeniem drzwiowym** i taki frazes powtarzał się w pełnym brzmieniu co kilka zdań. Otóż tutaj jest podobnie, tyle że po ukraińsku. Dlatego czytanie tej książki jest katorgą i boję się, że mało kto zechce przez to przejść.

No i to jest fatalne. Bowiem problematyka tam sygnalizowana ma charakter fundamentalny i to w skali już właściwie globalnej, zaś dramatyczne doświadczenia ukraińskie to **dorobek** absolutnie unikalny. Miałby przejść niezauważony? Zwłaszcza, że w niektórych wypowiedziach nie brakuje przemyśleń oraz sugestii ważnych. Tyle, że trzeba przedzierać się do nich przez zwały sloganów, pustosłowia i edytorskiej oraz pisarskiej nieporadności.

No więc na Ukrainie uświadomiono sobie, że równolegle do działań militarnych, Rosjanie prowadzą wojnę informacyjną i są w niej jeszcze skuteczniejsi niż na polu walki. To wprawdzie nie jedyne imperium, które poczyna sobie w ten sposób, lecz inni nie mogą się równać ani skalą przedsięwzięć, ani profesjonalizmem, ani efektywnością. Dodatkowy dramat polegał zaś na tym, że w pierwszym okresie agresji nikt nie miał pojęcia, co robić. O żadnym rewanżu nie mogło być mowy, ponieważ już od 2000 r. Rosja ma doktrynę narodowego bezpieczeństwa informacyjnego[3] i na ewentualne reakcje zwrotne jest odpowiednio przygotowana. W grę zatem wchodziła i wchodzi wyłącznie obrona, którą jednak dopiero od niedawna zaczyna się obmyślać i przygotowywać.

Do świadomości – przynajmniej znawców i ewentualnie polityków – dotarło, że trzeba zadbać o narodową **tożsamość**. Chronić ją, odbudować albo wręcz zbudować na nowo, przeciwdziałając **dopełnianiu** w sabotażowych intencjach oraz innym formom destrukcji. Jednak co do sposobu praktycznego postępowania nie ma ani jednolitej koncepcji strategicznej, ani zgodnych pomysłów dyrektywnych. Zwłaszcza takich, które dawałyby szanse na sukces.

Wymyślono tyle, że władze muszą zorganizować system narodowej informacji w skali kraju i nawiązać w tym trybie dialog ze społeczeństwem – jednak bez funkcji nadzorcy, albo cenzora, bo przed tym przestrzega się na całym świecie[4]. Jednak w konkretnej sytuacji wygląda to mało realnie. Już za późno na działanie w rękawiczkach: jest wojna. I brakuje narzędzi walki.

---

[3] W. Klujew (2007). *Uprawlenczeskaja ekonomika rossijskoj kultury. Tematiczeskij sbornik izbrannych rabot.* Moskwa: Izdatielstwo FAIR, 225.

[4] IFLA (2016). *IFLA Trend Report 2016 Update* [online]. IFLA, [23.12.2017], https://trends.ifla.org/files/trends/assets/trend-report-2016-update.pdf.; UNESCO (2015). *Keystones to Foster Inclusive Knowledge Societies. Access to Information and Knowledge,Freedom of Expression, Privacy and Ethics on a Global Internet. Final Study* [online]. UNESCO, [23.12.2017], http://unesdoc.unesco.org/images/0023/002325/232563E.pdf

Nawiasem mówiąc, w całej tej wieloautorskiej książce, ani jedna osoba nie odniosła się do języków. W kraju, gdzie znaczny odsetek mieszkańców (niekoniecznie antagonistów władzy) mówi po ukraińsku słabo lub wcale? Do zgody – przynajmniej w tej książce – doszło natomiast w takim zakresie, że cały ten narodowy system informacji trzeba budować w oparciu o biblioteki. A na ile to realne – o tym nieco dalej.

W założeniu, bardzo ogólnym, sugeruje się stworzenie drożnego systemu informacji elektronicznej w wymiarze ogólnokrajowym, o charakterze państwowo-prywatnym (ale nikt nie wyjaśnia, jak to pożenić), który zapewniłby szeroki i sprawny obieg informacji. A także: suwerenność tej informacji oraz odporność na **infekcje** i na wrogie manipulacje. Jednak to tylko katalog koniecznych cech.

Hasłowość tego wszystkiego jest ewidentna, praktycyzm mglisty, a co najgorsze: w świadomości pomysłodawców istnieje informacja **wyłącznie** internetowa. To koncepcja całkowicie błędna i nieżyciowa. Bezpieczeństwo można bowiem informacji zapewnić – zresztą jedynie częściowe – tylko przez **wielosemiotyczne** (równolegle digitalne oraz piśmiennicze) jej rozpowszechnianie. Przy jednym systemie, akurat elektronicznym, nie ma na to szans.

Na razie powołano Ministerstwo Polityki Informacyjnej Ukrainy, które ma dążyć do **konsolidacji informacji narodowej** oraz do **patriotycznego wychowania młodzieży** (jedno i drugie nie brzmi najlepiej), a także dbać o bezpieczeństwo informacyjne i przeciwdziałać wrogim ingerencjom w tym zakresie. Niestety, są to nie tylko drętwe hasła, bez wskazań praktycznych, ale na dodatek sygnalizują biurokratyzację i uwłaszczenie informacji publicznej na szczeblu rządowym. A jak zmieni się władza – bo tak przecież bywa – to wszystko trzeba będzie przerabiać na nowo? To nie jest dobra perspektywa.

Poza tym, nie bez racji, postuluje się przedsięwzięcia informacyjne wobec zagranicy. W tym celu ma być powołany specjalny Instytut im. Tarasa Szewczenki, a na razie pochwały zbierają telewizyjne programy na użytek zewnętrzny, w rodzaju „Ukraine Today" i „Ukraine Tomorrow". Owszem, tylko czy ktoś w Europie o nich słyszał? Obawiam się, że efektywność jest nikła. Żeby zostać spostrzeżonym, trzeba **wepchnąć się** w serwisy już istniejące i popularne.

Tymczasem – co przyznają niektórzy autorzy – świat nie jest zorientowany w ukraińskich nieszczęściach. Według Google, tereny opanowane przez separatystów są **sporne**, ale w wersji rosyjskojęzycznej już rosyjskie, a FIFA (piłkarskie mistrzostwa świata w 2018 r. zlokalizowano w Rosji) od dawna uważa Krym za część Rosji. Na razie więc dyplomacja Ukrainy zabiega, żeby w zagranicznych mediach miasta utracone określano jednak jako ukraińskie. Ale tak nie zawsze jest.

Trudności informacyjne wystąpiły nawet w obiegu wewnętrznym – choćby terminologiczne. Na ogół unika się tam terminu wojna, stosując eufemizm **wojskowy konflikt**, a wzmianki o separatystach sygnuje się określeniem **zagraniczni najemnicy**. Zaś regiony odseparowane od Ukrainy nie mają wspólnej nazwy: rosyjski termin **Noworosja** jest oczywiście zakazany.

Zarazem jednak – żeby nie urażać mieszkających tam ludzi, którzy przeważnie w niczym nie zawinili – próbuje się eliminować rozmaite nazwy, a właściwie przezwiska, uznane za szczególnie obelżywe, jak **Ługanda** albo **Ługambia**. Przy okazji: to jest praktyczne potwierdzenie informatologicznej opinii, że nazwy oraz terminy nie są tylko znakami, lecz w systemach organizacji wiedzy mogą występować również jako kategorie poznawcze[5]. Szkoda, że potwierdza to akurat taki kontekst.

Jak sugerują autorzy, w wymuszonym przez okoliczności poszukiwaniu sposobów ochrony narodowej informacji, początkowo nie doceniano potencjalnych możliwości bibliotek. Dopiero z czasem uświadomiono sobie, że biblioteczna sieć jest gęsta i biblioteki ze swoją darmową ofertą mogą być efektywnymi, a zarazem chronionymi, transmiterami informacji. Jednak potrzebują do tego znacznych środków dodatkowych i sprawnych partnerów.

---

[5] J. Woźniak-Kasperek (2015). *Terminologia jako mapa świata.* W: G. Gmiterek, M. Ochmański, M. Roszkowski (red.), *LaTeI. Z badań nad wykorzystaniem technologii informacyjnych w bibliologii i informatologii* (177–182). Warszawa: Wydaw. SBP.

Są bowiem w tej książce również doniesienia z **życia**, na tyle drastyczne, że kruszą nadmierne iluzje. Oto bowiem 5% tamtejszych bibliotek publicznych na wsi obywa się bez elektryczności, wiele nie ma ogrzewania (chociaż podany odsetek 60% {!!!} nie wydaje mi się prawdziwy), a prawie wszystkie wymagają pilnego remontu. No więc nie wystarczy, że sieć jest liczna; liczniejsza zresztą niż u nas. Jest jeszcze pytanie o jej kondycję. Opracowano program przedsięwzięć, na razie bardzo ogólny, który jednak też nie pozostawia złudzeń: trzeba zabrać się za rewitalizację **całej** bibliotecznej bazy. W obecnych okolicznościach to naprawdę brzmi dramatycznie.

Poza tym (powtórzę, bo to ważne) na Ukrainie – jak wszędzie – pomysł na publiczny obieg informacji powiązano prawie wyłącznie z **siecią** digitalną. To ogromny błąd. Który popełniają wszyscy i gdziekolwiek. Ale obecnie na Ukrainie nie jest tak, jak gdziekolwiek. Odwrotnie – gdziekolwiek może być (oby nie) tak jak na Ukrainie. Taki system bowiem da się zdemolować w ciągu minut, a najwyżej godzin. Z drugiej strony zaś: o ile w tamtejszych miastach korzysta z Internetu 75% mieszkańców, to na wsi zaledwie 24%. Więc nawet z tego powodu, przez **samą** elektroniczną sieć informacyjną nie zwojuje się zbyt wiele.

Jest wprawdzie w tej książce również tekst o prasie drukowanej jako narzędziu informacji publicznej, lecz jakoś dziwnie nieśmiały. Otóż na Ukrainie jest 309 gazet ogólnokrajowych oraz 1538 regionalnych i lokalnych. Mimo że niektóre przędą bardzo cienko, w sumie zatem to może być poważny transmiter informacji do ewentualnego wykorzystania. W dodatku niektóre tytuły ukazują się w językach innych niż ukraiński i to tym bardziej powinno być brane pod uwagę. Także w trybie bibliotecznej prenumeraty, która na razie jest mizerna.

Szczególnie ważna wydaje się tamtejsza prasa rosyjskojęzyczna. Spora część ludności włada bowiem głównie tym właśnie językiem i jest jednostronnie indoktrynowana, bez skutecznej przeciwwagi. To niemały odsetek mieszkańców Ukrainy, siłą rzeczy optujących po stronie separatystów. Potrzeba więc specjalnej informacyjnej strategii. Niestandardowej.

Na razie bogatym rejestrem przedsięwzięć proinformacyjnych, w zakładanej skali ogólnokrajowej, może wykazać się kijowska Biblioteka Narodowa. Tworzy mianowicie liczne i rozmaite bazy danych, dostępne w sieci, w tym zwłaszcza **Ukrainiana**, oraz organizuje dostęp do materiałów światowych. Wszystko ma jednak charakter wyłącznie digitalny, toteż odporności na zakłócenia i sabotaż nie ma żadnej, a i praktyczna dostępność nie jest nieograniczona. W imieniu tej biblioteki pojawiła się deklaracja udziału w wychowaniu narodowym, ale bez konkretów.

Brakuje ich również wśród sygnałów, że w podobne zamierzenia zaangażowała się Fundacja Prezydentów Ukrainy oraz Narodowa Biblioteka Prawnicza. Generalnie: widać stan mobilizacji oraz mnogość intencji, natomiast relacje z rozwiązań praktycznych są skromne.

Jest też doniesienie, że regionalne ośrodki (biblioteki?) oferują specjalne materiały przez sieć osobom, które musiały wyemigrować z Krymu, Doniecka oraz Ługańska. Niby to słuszne, ale... wszyscy ci ludzie przenieśli się z laptopami? I wiedzą, że jest dla nich specjalny serwis? Rozwiązania sieciowe są bardzo wygodne, ale głównie dla nadawców; najwyższy już czas, żeby (wszędzie) zacząć myśleć o odbiorcach.

Wszystko to, niestety, wskazuje, że formalizacja i deklaratywność mają wpływ na przedsięwzięcia oraz na pomysły. Trochę w stylu niby postsowieckim, lecz nie ma pewności, czy gdziekolwiek indziej, w podobnych okolicznościach, byłoby inaczej.

Poza tym wygląda na to, że informacja polityczna rozwija się tam własnym trybem. Niedawno istniały na Ukrainie 262 partie polityczne i każda miała w sieci swój własny materiał. Do lansowania również przez biblioteki, czy jedynie do zasygnalizowania? Trudno to rozstrzygnąć arbitralnie.

Wnioski z tej książki, może niezbyt liczne, natomiast dramatycznie ważne, wskazują na konieczność stworzenia na Ukrainie – a w rzeczywistości wszędzie – systemu narodowej informacji publicznej, z zasadniczym oparciem o biblioteki, które jednak trzeba (tam) pierwej reanimować. I chociaż nikt tego tak nie wyraził, ten program trzeba wdrożyć nieomal od zera, generując również informacyjne programy regionalne, także dla obszarów aktualnie odseparowanych. Łatwo zauważyć, że w obecnych okolicznościach, szanse realizacji są **niebywale** utrudnione. Ale nie próbować po prostu nie można.

Mój poważny niepokój dotyczy jednak **elektronicznej** wyłączności referowanych projektów. Czy nikt nie widzi, że to jest informacyjne oraz polityczne **samobójstwo**? W takim trybie w jakiekolwiek powodzenie trudno uwierzyć.

Odrębny i dramatyczny kłopot, tyle że już o charakterze uniwersalnym, polega na przypisaniu zadań koordynacyjnych centralnym władzom państwowym. W obliczu cyberwojny to niby naturalne, że tworzy się jedno wspólne dowództwo naczelne. Ale taki stan rzeczy nawet tam nie jest wieczny, a gdzie indziej na ogół go nie ma. Tymczasem polityczna centralizacja systemu informacyjnego, jeśli raz wdrożona, może okazać się trwała. A to przecież nic innego, jak knebel oraz cenzura, już ze swojej natury antydemokratyczne. W istocie niszczą w zarodku nawet samą ideę Internetu. Także **okrzyczana** nowa idea, określana jako **Internet 2**, wcale nie jest od podobnych wątpliwości wolna. Nie twierdzę, że wiem, jak te sprzeczności pogodzić, ale problem jest zasadniczy i z całą pewnością nie lokalny.

Tak ułożyły się losy, że akurat Ukraina okazała się pierwszą poważną ofiarą zmasowanej cyberwojny, która – oby nie! – może jednak zaskoczyć wszystkich i wszędzie. Byłoby więc katastrofą, gdyby dramatyczna **lekcja** ukraińska przeszła przez świat niezauważona.

To, co tam widać wymaga starannego przemyślenia i wypracowania pomysłów zaradczych. Nie tylko dla samej Ukrainy, którą trzeba wesprzeć, ale w równym stopniu na użytek własny. Bo na tym co jest, nie skończy się na pewno. A w nieszczęściu i w zaskoczeniu radzą sobie tylko przygotowani.

Otóż trudno wyobrazić sobie produktywne przygotowanie w **tym zakresie**, bez aktywnego i mądrego współudziału informatologów oraz informatyków – obok innych znawców. Tak w skali globalnej, jak też w wielu krajach: indywidualnie.

Information literacy [*]

A. L. Anderson (2016). *Conceptualization and Practice of Information Literacy Instruction in Community Colleges* [online]. Ames: Iowa State University. Graduate These and Dissertations 15143, [23.12.2017], http://lib.dr.iastate.edu/etd/15143


Conceptualization and practice of information literacy instruction in community colleges

April Lynne Anderson
Iowa State University

Follow this and additional works at: http://lib.dr.iastate.edu/etd

Part of the Higher Education and Teaching Commons, and the Information Literacy Commons

Recommended Citation

Anderson, April Lynne, "Conceptualization and practice of information literacy instruction in community colleges" (2016). Graduate Theses and Dissertations. Paper 15143.

This Dissertation is brought to you for free and open access by the Graduate College at Digital Repository @ Iowa State University. It has been accepted for inclusion in Graduate Theses and Dissertations by an authorized administrator of Digital Repository @ Iowa State University. For more information, please contact digirep@iastate.edu.

Szukając informatologicznych tekstów niestandardowych do omówienia, odstających od sztampy i przez to ewentualnie ciekawszych, natrafiłem na repozytoryjną publikację rozprawy doktorskiej **April Anderson** z Uniwersytetu Stanu Iowa w Ames. I... opadła mi szczęka. Ale po kolei.

Uniwersytet w Ames (29 tys. studentów) należy wprawdzie w Stanach Zjednoczonych do grupy uczelni trzeciej kategorii, ale na światowych listach rankingowych zajmuje 421. lokatę, więc wyższą niż polskie najlepsze uczelnie, toteż porównania nie są bezzasadne. Tyle, że główną **wizytówką** tego uniwersytetu jest (pochodzący z Izraela) prof. Dan Shechtman, laureat Nagrody Nobla z chemii w 2011 r., natomiast u nas naukowego noblisty nie ma już od dawna. Ale przywołana tu rozprawa doktorska – w Polsce wszak równoważna z habilitacyjną – częściowo powinna rozładować kompleksy.

Mianowicie nie mam wątpliwości, że u nas nie ostałaby się nawet jako licencjacka, mimo że w obu dyscyplinach INB przyświeca nam wysoka tolerancja i spolegliwość. Otóż na 119 raptem stronach, z wielostronicowym opisem **narzędzi** badawczych oraz literatury przedmiotu (rejestr katastrofalny: nie ma ani jednej publikacji poważnej), doktorantka wielokrotnie powtarza jedno i to samo, zresztą nic odkrywczego oraz wplata sentymentalne reminiscencje z własnego dzieciństwa, jak też z rodzinnego życia. Czy osoby odpowiedzialne za promocję były przytomne i czy ktoś to w ogóle przeczytał? To jest absolutna parodia nauki.

Na swój sposób pouczająca i dlatego warta uwagi. Mamy bowiem powody przypuszczać, że naszej nauce, w tym właśnie dyscyplinom INB, oraz naszej edukacji, trochę lub sporo brakuje do światowego

poziomu. Jednocześnie funkcjonuje uzasadnione przeświadczenie, że amerykańska nauka dominuje w skali globalnej. Owszem, okazuje się jednak, że tylko w wąskim wydaniu elitarnym. Natomiast przywołany tu przykład zdaje się świadczyć, że przeciętna, standardowa młocka uczelniana, nie wygląda na lepszą niż nasza, a być może bywa gorsza. Sygnalizowana tu rozprawa doktorska świadczy o tym nie tylko sama sobą, ale także zawartością treściową. Bardzo to smutne, przykre i niepokojące.

Sam pomysł na dysertację nie był zapewne bez sensu. To miała być analiza realizacji przysposobienia informacyjnego (ang. *Information Literacy*, IL) na poziomie przeduniwersyteckim. Jednak wykonanie prezentuje się **fatalnie**, po części przez niefortunny wybór miejsca badań, ale też wyraźnie za sprawą autorskiej nieporadności.

April Anderson wybrała do **badań** (to jednak nie są prawdziwe badania) pięć szkół pomaturalnych, nazywanych tam **community college**, które w cyklu dwuletnim przygotowują co słabszych absolwentów szkół średnich do studiów wyższych. Tamtejsi uczniowie to najgorzej wykształcona zbiorowość młodociana: przeważnie ze wsi oraz z małych miast (55% to biali Amerykanie) i nawet po takiej czterosemestralnej preparacji, 40% nie nadaje się na żadne studia.

Przedstawiona przez autorkę panorama umiejętności – chociaż właściwie nieumiejętności – tych uczniów jest przygnębiająca. A trzeba dopowiedzieć, że nauka w tych kolegiach odbywa się nie tylko w trybie stacjonarnym, lecz także w zdalnym oraz zaocznym (kompletnie nieefektywne!!), zaś wiek uczących się jest wyraźnie wyższy niż **statystyczny** wiek studentów uniwersyteckich. Tak więc całe to edukacyjne przedsięwzięcie prezentuje się kiepsko, albo bardzo kiepsko. I wprawdzie jakość edukacji szkolnej w ogóle jest w skali globalnej oceniana bardzo krytycznie[6], jednak aż takiej mizerii nie sygnalizuje nikt. Zwłaszcza w odniesieniu do Stanów Zjednoczonych.

Wybrane do analizy kolegia, są ze sobą administracyjnie powiązane, ale żadnej łączności ani programowej wymiany nie ma. Co więcej: w ramach programu nauczania żadnego przysposobienia informacyjnego też nie ma, bo dyrekcje kolegiów nie były i nie są tym zainteresowane. Wdrażanie zatem umiejętności odbioru informacji jest dobrowolnym zajęciem bibliotek z tych kolegiów – więc tylko dla uczniów, którzy tego chcą, a z wyłączeniem w ogóle osób uczących się zdalnie oraz zaocznie. W istocie tedy autorka podjęła próbę przeanalizowania czegoś, co istnieje tylko w postaci szczątkowej. I taka też jest cała ta analiza.

Punkt wyjścia rozważań stanowi ocena uczniowskich kompetencji informacyjnych, które miały być rozwinięte w stopniu przynajmniej dostatecznym, w trakcie dotychczasowej nauki szkolnej. Dopowiem, że zbieżne założenie towarzyszyło również polskiemu programowi szkolnemu, dopóki istniały ścieżki edukacyjne[7]. Obecnie to zadanie próbują na własną rękę realizować biblioteki szkolne, publiczne oraz pedagogiczne. Czy z takim efektem jak (sygnalizowany) w Stanach Zjednoczonych? Trudno myśleć o tym bez irytacji.

No bo to, co referuje Anderson, to horror. Jej zdaniem uczniowie (absolwenci szkół średnich!) nie umieją wyszukiwać informacji, z komputerów korzystają całkowicie bezmyślnie, a nie radzą sobie z urządzeniami mobilnymi. Portret jest tak dramatyczny, że najchętniej zasygnalizowałbym brak dowodów – żadnej własnej analizy empirycznej autorka nie dokonywała – lecz obawiam się, że nie jest to czysta abstrakcja. W tym zestawieniu zaś, szumne hasła **społeczeństwa informacyjnego** lub **opartego na wiedzy** konkretyzują się absurdalnie.

Smutnemu wizerunkowi uczniowskich niekompetencji informacjobiorczych, odpowiada w niczym nie lepszy, bo równie mizerny, wygląd tego doktorskiego przewodu. To jest poznawcza kompromitacja, aprobowana jednak w autorytecie uczelni.

Ze względu na brak IL w dydaktycznych programach tych akurat kolegiów (po co więc autorka je wybierała i kto to zatwierdził?), Anderson przeprowadziła pięć wywiadów z bibliotekarkami z tychże pięciu kolegiów, dodając do tego nieklarowną analizę dokumentów oraz notatki z obserwacji

[6] G. Thomas (2013). *Education. A Very Short Introduction*. Oxford: Oxford University Press.

[7] M. Drzewiecki (2005). *Edukacja biblioteczna i informacyjna w polskich szkołach*. Warszawa: Wydaw. SBP.

doraźnych zajęć IL w bibliotekach. Natomiast z samymi uczniami żadnych wywiadów ani rozmów nie było (?!).

Oprócz wielokrotnego powtarzania w tekście tych samych, nieskomplikowanych definicji, rozumowanie w przewodzie polegało na też powtarzalnym, bo pięciokrotnym – bez żadnej zbiorczej syntetyzacji – przyrównywaniu usłyszanych opinii oraz dostrzeżonych faktów, do schematu nauczania IL, opracowanego przez American College and Research Libraries (stowarzyszenie sprzężone z ALA). Schemat ów, który zresztą nie zawiera niczego nadzwyczajnego, został potraktowany jak nienaruszalny i superwzorcowy kanon. Dlaczego? Nie da się zgadnąć.

Określa mianowicie, że trzeba studentów (tu: uczniów) nauczyć, jak rozpoznawać własne potrzeby informacyjne oraz jak pozyskiwać potrzebne informacje, następnie zaś jak oceniać je krytycznie i pożytecznie przyswajać oraz jeszcze: pożytkować etycznie i w zgodzie z prawem. Nic tam nie wykracza zatem ponad oczywistości. Jednak autorka uczyniła z tego zgrzebnego spisu wzornik, do którego następnie przyrównała realizację bibliotecznych szkoleń IL przez pięć obserwowanych bibliotek. Z ogólną oceną pozytywną, której uzasadnienie jest żadne. Gorzej: spośród pięciu bibliotek, dwie w ogóle nie odniosły się do praktyki cytowania oraz weryfikowania informacji przyjętych.

W praktyce, w obserwowanych bibliotekach, w ramach IL dokonano demonstracji korzystania z katalogów, wyszukiwarek i baz, przede wszystkim EBSCO. Przeznaczono zaś na to raptem jedną sesję, trwającą 60–70 minut, z wykorzystaniem laptopów lub dużego ekranu centralnego. Bez żadnej oceny efektów. A ponieważ udział w takich zajęciach miał charakter dobrowolny, uczestniczył w nich mało kto.

Cały ten materiał wskazuje pozaintencjonalnie, że w wybranych kolegiach i w ich bibliotekach, przysposobienie IL było w istocie pozorowane. Jednak takiej opinii Anderson nie sformułowała, wdając się w banalne wywody, pełne sloganów i oczywistości. Nie da się zgadnąć, jakim prawem, dlaczego i po co uznano ten wywód za naukową dysertację, a co najgorsze: zaakceptowano jako podstawę doktorskiej promocji.

Nie ma tam żadnej wykreowanej wartości poznawczej. To, co ewentualnie zaprząta uwagę – i skłania do smutnej refleksji – wynika z doniesień pośrednio i nie ma związku z autorskimi zamierzeniami. No i co szczególnie smutne: to nie jest wydarzenie jednostkowe, wyjątkowe, niepowtarzalne. Dlatego je tu przywołałem.

Trzeba bowiem chronić naukę przed takimi **dokonaniami**, ale musieliby chcieć tego wszyscy zainteresowani. Tymczasem wcale tak nie jest.

Nadesłano: 26 kwietnia 2017